

Jolanta Janiczak

„Towiańczycy, królowie chmur”

OBSADA:

ANDRZEJ TOWIAŃSKI – Krzysztof Zarzecki

KAROLINA TOWIAŃSKA – Marta Ścisłowicz

ADAM MICKIEWICZ – Roman Gancarczyk

CELINA MICKIEWICZ – Katarzyna Krzanowska

WŁADYSŁAW MICKIEWICZ – Bogdan Brzyski

SEWERYN GOSZCZYŃSKI – Zygmunt Józefczak

KSAWERA DEYBEL – Ewa Kaim

RAM GERSZON – Juliusz Chrzastowski

KONRAD – Michał Majnicz

PROLOG

TOWIAŃSKI: Jestem ekskrementem

Dziesiątki ról, setki twarzy, godziny aplauzów, nic nie zmieniło mnie w złoto.

Książki, obrazy, zwierzęta nauczyły mnie jak tworzyć duszę.

Żeby wiedzieć...

Żeby pragnąć..

Żeby mieć odwagę...

Moja pamięć zagracona szczątkami zdruzgotanych horyzontów:

Ryba np. myśli o głodzie, nie o rybaku.

Człowiek nie osiągnie niczego w pojedynkę.

Alchemia przyniesie efekt, jeśli znajdę towarzyszy:

Będą złodziejami, podobnie jak ja.

Będą jednymi z najpotężniejszych na tej planecie.

Przemysłowcami idei, politykami wiary.

W moim interesie zajmą się pięknem i bezużytecznością ludzkiego ciała.

Mój ojciec stworzył to Imperium i zostawił dla mnie.

Jest głuchym, ociemniałym niemową.

Ojciec to pasożyt wspomnień, żaloba po ironii.

Z miłości do ojcowizny rozmyślam zbyt wiele o przeciwniku, koniec końców lepiej odnajduję się w potępieniu.

Coś z życia pojęli ci, którzy wybrali orgię lub ascezę.

Dziś wieczór mam ochotę na orgię.

Jestem w niezdolnie dramatycznym nastroju. Stać mnie na coś naprawdę desperackiego.

Moje odruchy są takie rozdwojone. Jak mogę mieć z tobą wspólnotę skoro nie mam jej nawet z własną stopą. Patrzę na ekran i się nie poznaję. Patrzę w lustro – ani śladu osoby, o której czytałem w książkach. Chce mi się pić. Gdzie są jakieś moje, niezacytowane myśli, których szuka i za którymi idzie każdy porządny prorok. W którym archiwum są moje poglądy, co

miały o mnie decydować? Miały mnie ocalić, a służyły głównie do mówienia. Przecież nie chcę cie do niczego przekonać. Nienawidzę prawdy.

KAROLINA: Jesteś bezpieczny, nie potrzebujemy na razie żadnych zdarzeń.

TOWIAŃSKI: Masz na mnie jakiś pomysł?

KAROLINA: Przebierz się.

TOWIAŃSKI: Jestem chory.

KAROLINA: Zawsze to jakieś źródło tożsamości.

TOWIAŃSKI: Kim jestem?

KAROLINA: Przez lata nikt o ciebie nie pytał. Tysiące ludzi przeszło obok, dla nikogo nie okazałeś się ani ciekawy, ani użyteczny.

TOWIAŃSKI: Czytałem setki książek, żadna nie powiedziała, do czego mógłbym się przydać, poznałem tysiące ludzi wszyscy znudzili się mną zanim mnie poznali. Stałem tak idiotycznie sam i udawałem, że piszę wiadomości. Produkowałem coś, ale po chwili zapomniałem co. Napawałem się obrazem, pieściłem swoje kreacje coraz bardziej odległe. W końcu w żadnej się nie poznawałem.

KAROLINA: Będziesz potrzebował innego języka, będziesz potrzebował jakichś danych, jakiejś postaci albo sprawy. Nie możesz tak po prostu siedzieć bez kontekstu, bez ubrania, bez sensu.

TOWIAŃSKI: Jestem chyba zbyt nudny i zbyt ciężki do użycia.

KAROLINA: Jesteś silny, masz idealne proporcje.

TOWIAŃSKI: Nigdy się z niczym na serio nie utożsamilem, z żadną osobą, ani z żadną sprawą.

KAROLINA: Nie bój się, wyciągnij jeden los.

TOWIAŃSKI: Kategoria losu umarła wieki temu.

KAROLINA: Wyciągnij, śmiało. Nie podglądaj.

TOWIAŃSKI: Mam.

KAROLINA: Przeczytaj.

TOWIAŃSKI: Paryż, dziewiętnasty wiek.

KAROLINA: Ubogie dzielnice emigracyjne, wielkie ambicje, małe środki, ludzie, ludzie, ludzie. Głośne nazwiska, głośne wyzwiska, bezsensowne ofiary, brak środków do życia.

TOWIAŃSKI: Dlaczego tam?

KAROLINA: Do korzeni, które trzeba zniszczyć. Oblepiony nie swoją przeszłością, wiszą na tobie te właśnie nazwiska, te głośne wyzwiska, te krajobrazy, te walki, powstania, ten język. Próbowaleś je odciąć setki razy, za każdym razem odrastały w nakazach ojca, w ciele twojej matki. Nawet w zakładach zamkniętych, nawet na Saharze obchodziłeś ich święta.

TOIWAŃSKI: Przed każdą decyzją konsultuję się z mumią mojej matki, wkładam w nią palec, jeśli jest mokry znaczy, że tak, jeśli suchy znaczy nie.

KAROLINA: Jaki jest dzisiaj? Pyszny.

TOWIAŃSKI: Nie pamiętam.

KAROLINA: *nuci hymn.*

KAROLINA: Litwa.

TOWIAŃSKI: Ojczyzna jak zdrowie, ten tylko się dowie kto ją stracił.

KAROLINA: Nie. Para studentów z Wilna całowała się przez 35 godzin, 17 minut i 10 sekund, czyli prawie dwa razy dłużej niż zwycięzcy konkursu z ubiegłego roku.

TOWIAŃSKI: Cel: ulica Amsterdam 1, Paryż. Rok 1841, 24 grudnia.

KAROLINA: Teraz cię pocałuję. Ma ktoś może stoper? Proszę zacząć odliczać. Mamy szanse pobić ten rekord. Kiedy otworzysz oczy być może będziemy na miejscu.

TOWIAŃSKI: Kim są ci ludzie? Co oni myślą? Co kochają? Co oni jedzą? Na co chorują?

KAROLINA: Wielka literatura mówi, że cierpią na tęsknotę. Naużywają pojęć: honor, wiara, ojczyzna. Zdecydowanie Boga wkładają między wszelkie członki.

TOWIAŃSKI: Kim jest ich Bóg?

KAROLINA: Jakimś dowódcą, na pewno żołnierzem.

TOWIAŃSKI: Za czym tak tęsknią?

KAROLINA: Z potęgą, za ziemią, za życiem, sobą nawzajem. Nasz ekspedycja postara się dotrzeć do źródeł tych tęsknot.

TOWIAŃSKI: Daj im mój bagaż.

KAROLINA: Jedna garść ojczyzny to za mało żeby coś wyrosło.

TOWIAŃSKI: Lunatycy, marzyciele.

KAROLINA: Chyba nie potrafią marzyć, są ciągłą wojną o przetrwanie, ale czy przetrwać to na pewno jakaś frajda?

MUZEUM

MICKIEWICZ: O tem, że dumać na paryskim bruku,

Przynosząc z miasta uszy pełne stuku,

Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,

Za późnych żalów, potępieńczych swarów!

Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy

Lękliwe nieśli za granicę głowy!

Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,

W każdym sąsiedzie znajdowali wroga,

TOWIAŃSKI: Nie dziw, że ludzi, świat, sobie zohydzą, Że utraciwszy rozum w mękach długich, Plwają na siebie i żrą jedni drugich!

MICKIEWICZ: Jedyne szczęście, kto w szarej godzinie

Z kilku przyjaciół usiadł przy kominie,

Drzwi od Europy zamykał hałasów,

Wyrwał się z myślą ku szczęśliwym czasom.

TOWIAŃSKI: Co za smutna mania prześladowcza.

KAROLINA: Ich król, szaleniec i geniusz.

TOWIAŃSKI: Dlaczego nie mieszka w pałacu?

KAROLINA: Nie stać ich nawet na własny klub golfowy, na własną przeszłość, nie mają klucza do przyszłości. Śpiewają, piszą skargi, modlą się. Czekają.

GOSZCZYŃSKI: Dla poety emigracja to śmierć.

KAROLINA: Nie wyprowadzają władzy z boskości, ale boskość z władzy, kto piękny to dla nich bóg. Jesteś wystarczająco piękny.

TOWIAŃSKI: Czego szukają?

KAROLINA: Wygranych wojen w rozpadających się zwłokach.

TOWIAŃSKI: Pokocham tylko taki naród, który pokaże wszystkie materiały, z jakich jest zrobiony, który ze smakiem zje swoje produkty uboczne. Tych nie chcę ich znać.

KAROLINA: Choć byś nie wiem jak się wzdygał, ich językiem myślisz, ich księgi znasz na pamięć nawet jeśli się ich nie uczyłeś. Nawet nie wiesz którędy w ciebie weszli ich butni bogowie. Przecież masz takie same rysy i ruchy jak on.

GOSZCZYŃSKI: Pan z Moskwy?

TOWIAŃSKI: Z Wilna.

GOSZCZYŃSKI: A panienka?

TOWIAŃSKI: Żona moja ma korzenie w Dreźnie.

KAROLINA: Towiańscy, z tych Towiańskich, o których mędrzec nakazuje milczeć.

GOSZCZYŃSKI: Co dzień składam Panience Najświętszej przysięgę milczenia i nie dotrzymuję przysięgi.

TOWIAŃSKI: Nie możemy milczeć, musimy produkować dużo historii, dużo obrazów, dużo możliwości. Każda chwila Sewerynie to nieskończoność możliwości. Czujesz to?

GOSZCZYŃSKI: Odkąd wyjechałem mam 44 tysiące wyników na 22 sekundy, czyli o dziesięć tysięcy mniej niż przed wyjazdem z Polski, za to Mickiewicz około 4 miliony 444 tysiące wyników na 20 sekund. I ciągle rośnie. Mój „Zamek kaniowski” hit jednego sezonu, nawet nie hit, sensacja też nie. Miałem piątą polucję w tym miesiącu. Sen przerażający okropny. Od trzech dni nic nie jadłem. We śnie przychodzą do mnie dwie kobiety.

KAROLINA: I co?

TOWIAŃSKI: I co?

GOSZCZYŃSKI: Jestem sam, ale nie pojedynczy, jest mnie wielu. Moje sobowtóry? Moje klony kroczą w różnych kierunkach. Ja- my, ja i te dwie kobiety, które w tym natrętnym śnie są siostrami syjamskimi zrośniętymi od pasa w dół. Widzę dwie głowy, dwie pary rąk, trzy piersi i resztę już całkiem wspólną. Nad każdą z głów lśni aureola. Są smokiem wawelskim. Tak wawelskim. Ich tułów zamienia się w Wawel, który Potężnie mnie dominuje erotycznie, rozgniata swym słodkim ciężarem. Dopadam je czule, dziko, ordynarnie jak w koszarach. Tylko bez agresji, pojedynczo. Nakazuję pojedynczo. Nie muszę pisać jak to się odbyło.

Obrzydliwie długo i obrzydliwie grupowo jak na dobrym frontowym zapleczu. Ile mogę za to dostać?

KAROLINA: Chyba nawet nie starczy na dobry obiad.

TOWIAŃSKI: Z tych podłych syntetyków, z tych najlichszych materiałów, z tych brudów trzeba produkować.

GOSZCZYŃSKI: W zeszłym tygodniu układałem strofę o Najświętszej Panience, nie szła mi ani metafora, ani porównania, zasnąłem. A sen złoczyńca prowadzi: na kolana padam przed figurą Panienki, co ją z pielgrzymki licheńskiej przywiodłem, modłę się jedna zdrowaśka, druga, dziesiąta. Delikatnym wzrokiem patrzę w to natchnione oblicze. Mruga, uśmiecha się? Śmieję się zalotnie, zdrowaś Maryjo nie pozwól mi widzieć, tego co mi się narzuca, nie pozwól mi czuć tego co odczuwam. Uchyła płaszcz, uchyła sukni, pierś biała okrągła blaskiem swym mnie poraża dotkliwie, boli mnie brzuch. Nie wytrzymam, błagam cię nie rób mi tak okropnych pokus Najświętsza Jedyna. Wyciąga ku mnie dłoń i prowadzi dłonią przez szaty.

KAROLINA: Na takim łożu nawet Napoleon by uległ.

GOSZCZYŃSKI: Zdzieram z niej odzienie. Pod jednym odzieniem następne odzienie i jeszcze jedno i jeszcze cięższe szaty, szarpię, całą siłą zdzieram, a tam znowu tylko suknie i welony. Powalam ją na ziemię, zgubiłem się duszno mi Boże, ratuj, ratunku, ratunku.

KAROLINA: Obudź się zamówiłam posiłek.

GOSZCZYŃSKI: Ty świni, ty ospała świni, ty rozpustny, rozpasany wieprzu. Kara. Trzy tygodnie abstynencji od kawy, herbaty, wszelkich używek. Za poniedziałek – raz, za wtorek – dwa, za dzisiaj – trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem.

KAROLINA: Przestań, zrobisz sobie dziurę w głowie i kto to posprząta?

GOSZCZYŃSKI: „Ciało jest anomalią im dłużej się na siebie patrzę z tym większą odrazą odwracam się. Ciało nie jest ani dziwne, ani mroczne, jest nie tylko siedliskiem chorób, samo jest chorobą.” Cioran nakazuje odwiedzać piece kremacyjne, żeby tam skutecznie stłumić pożądanie. Ale nie mogę się dostać, nie chcę wpuścić, za słabo znam język.

KAROLINA: Jedz. Nie trzeba przeproszać nigdy. Jedz, nie bój się. Zupa grzybowa ze smukłego borowika, który w pieśniach litewskich zwany lasów pułkownikiem.

GOSZCZYŃSKI: O głodzie nikt z nas nie śmie wspomnieć, bo to ani atrakcyjny, ani narodowy, ani płodny poetycko temat. Odzienie dostajemy z paczek z dawnych epok. Czasem jak ściągną operę, czy balet, ktoś z nas coś dyskretnie przyniesie i obdzieli braci. Próbuje się cieszyć żeśmy ekscentryczni, inni, że nam Francuz, czy Niemiec, zazdrości odwagi, powabu. Francuski zna dobrze tylko Adam, my jakoś się próbujemy się przebić na gesty i miny. Dlatego często wymownie milczymy. I tylko w snach na chwilę żyjemy pełnym strumieniem.

KAROLINA: Ciepłe pończochy, o których pisałeś w dziennikach.

TOWIAŃSKI: I kozuch z litewskiego chłopca. Zabrałem woźnicy miał dwa.

KAROLINA: Miał jeden. Ale Sewerynie dla twoich snów sam Chrystus straciłby głowę. A my musimy potracić głowy jeśli chcemy jeszcze coś pięknego przeżyć. Zainwestuję w twoją nieruchomość. Nie spuszczaaj mnie z oczu.

DOM

MICKIEWICZ: Mamy tu okropny zaduch. Okropnie wiejskie horyzonty. Trzeba otworzyć okno. To okno. A potem przez nie wyskoczyć na paryski bruk. I zbrukać paryski bruk i siebie na nim jęczącego.

CELINA: Twoje poematy nie jednego olbrzyma poniosły. Już nas lada chwila z choroby sieroczej podniosą, z mieszkań za sto franków.

MICKIEWICZ: Jak my tu niby mamy urządzić reprezentacyjny salon. Paskudna dzielnica, nie ma kogo reprezentować, żadnych ciekawych ludzi. Emigracja zarobkowa z krajów trzeciego świata, nawet nie ze wschodu.

GOSZCZYŃSKI: Dla poety emigracja to śmierć.

CELINA: Na ostatnim wykładzie było z tysiąc osób. Słuchali cię, płakali, były owacje na stojąco, kwiaty.

MICKIEWICZ: Płaczą, bo nade mną po prostu w dobrym tonie jest płakać.

CELINA: O Goszczyńskim może wiedzą coś nie coś literaturoznawcy, może bibliotekarki, dlatego trzeba go z nazwiska przedstawić, a ty pod strzechami w postaci wielkiego Wajdy, prawie oskarowego filmu, w obsadzie zdaje się nawet z tego teatru poruszasz do dziś masy niewdzięczniku.

MICKIEWICZ: Gdybym moich wzwodów poetyckich nie wyrażał w obrazach, które na język politycznych i religijnych haseł bez trudu można przełożyć, nikt by z moich dzieł nie zrobił nawet etiudy.

KSAWERA: Ja bym napisała libretto z „Księgi pielgrzymstwa i narodu polskiego”. Dzisiejszego wieczoru na pewno jeszcze zaśpiewam.

MICKIEWICZ: Co ty masz na sobie?

CELINA: Suknie.

MICKIEWICZ: Ile sztuk?

CELINA: Nie dbam o jutro, co znajdę na sobie zakładam.

MICKIEWICZ: Znam ten zapach, ten styl.

CELINA: Po mamie znalazłam, odświeżam sobie lata dziecięce, Litwę.

MICKIEWICZ: Grzebałaś mi w miejscach intymnych.

CELINA: W naszych miejscach intymnych.

MICKIEWICZ: Jak możesz pamięć po matce w dzień powszedni, bez mojej wiedzy na nieumyte ciało zakładać?

CELINA: Uważaj zniszczysz.

MICKIEWICZ: Garderoba twojej matki do mojej biografii należy. Jaka była mi wdzięczna, że ją od ciebie uwolniłem. Dzięki mnie znów zaczęła krzyczeć, drzeć prześcieradła, komponować pieśni powstańcze.

CELINA: Jestem do niej podobna, te same wymiary, te same niedociągnięcia, ten sam rytm. Jak ona pięknie wyglądała w trumnie jak żywa, jak ja w tej chwili.

MICKIEWICZ: Ten nagły skurcz, to oczekiwanie, że coś się wydarzy, że rozstrzygnie się los.

KSAWERA: Ma jakiś smutny, brudny sexapil.

MICKIEWICZ: Ostatecznie wszystko sprowadzam do pragnienia, reszta jest niuansiem.

KSAWERA: Przyjechałam z Wilna sama. Uciekłam ojcu do twojej poezji. Sama. Pod pozorem kariery muzycznej chcę się wpisać w twoje pragnienia, lęki i klęski. Jesteś jedyną kartą, na którą stawiam mój los. Na coś ci się przydam. Sama.

MICKIEWICZ: Zaśpiewaj coś.

KSAWERA: Dowolnym językiem, powolnym przekładem.

MICKIEWICZ: Proszę zająć mój gabinet. Będziemy mogli swobodniej rozmawiać, w drugim akcie powinien przeczyścić się teren.

KSAWERA: Była nauczycielką dzieci Mickiewicza. O chwili sam na sam z Ksawerą marzyły dziesiątki polskich emigrantów odwiedzających apartament przy Amsterdam jeden , działacze w Kola

Sprawy Bożej, m.in.: Goszczyński, Jeżewski, Gutt, Zan, Słowacki, Miłosz, Gombrowicz, Boy, Polański, sam mistrz, Andrzej Towiański, obawiał się jej oczu i unikał spojrzenia. Autor bestsellera „Mesjasze” niejaki Węgier Spiro zagląda mi w te wszystkie miejsca w które sama nie zdołała bym zajrzeć nawet z pomocą zwierciadła.

CELINA: Rozumiem, że ją jedną kochałeś najbardziej na świecie, ja też ją kochałam nad życie, wiem ci ze mną ciężko żyć kochany.

MICKIEWICZ: Nie próbuj być mi wyrzutem sumienia.

CELINA: Przyszłam w złym momencie i zostałam źle ujęta przez ówczesnych fotografów.

KSAWERA: Mnie całkiem przycięto, został tylko tyłów i oczy, ale nie wyraźnie.

CELINA: Zły profil, wulgarny kadr.

WŁADYSŁAW: Ja cię mamusi wyretuszuję, dobrze znam techniki. Cała rodzina wymaga korekty, zmniejszenia kontrastów, większej czułości, głębi.

KSAWERA: Władziu nie wyrzucaj niczego do kosza. To są wszystko bardzo cenne pamiątki. Dzięki nim kiedyś przeżyjemy. Władziu wyrzuć tę szmatkę, bo poniszczysz fakturę faktów. Nie mogą być tak wypolerowane, żeby każdy mógł się w nich bezkarnie przejrzeć.

CELINA: Nienawidzę dramatu, podła sztuka. Udaję, że życie jest niby tak ekscytujące i pełne znaczenia. W nas od lat nic się nie odbywa. Czekamy i czekamy nikt nie wie na co.

KSAWERA: Bo tu potrzeba imaginacji, a ty, Celino jest strachem. Strach nigdy nie był mile widzianym motywem przewodnim. Daj rękę Ksawera prawdę powie, co było, co będzie, co los uprzedzie.

WŁADYSŁAW: Tato chodź „Pan Tadeusz” leci, puścili na polonia kanale, żeby był do wieczery. Razem oglądajmy. Tylko ty i ja i mama. Tato patrz, jak się Jacek Soplica spowiada. Urody kobiet też dość polskie, bujne, włosy jak łany zbóż, usta jak maliny.

MICKIEWICZ: Inaczej chciałem trafić pod te strzechy, pod pierzyny młodziutkich panienek, żeby mnie z wypiekami na twarzy czytały. Żeby ich marzenia robić olbrzymimi, żeby ich plecom przydawać skrzydeł. Żeby leciały jak ja lecę i z Bogiem samym miały odwagę się mierzyć. I żeby same stały się bogami. Na swoim własnym Olimpie.

WŁADYSŁAW: Tato jak mówią wierszem żywo naturalnie, jak mieczem władają słowem we wszystkie strony. Tato jesteś wciąż aktualny, uniwersalny, współczesny, można się w tobie zakochać, przejrzeć jak w „Weselu”, jak w „Chłopach”. Nie dziw, że dają nam tyle gwiazdek i najlepszy czas antenowy.

CELINA: Jedna godzina twojej obecności wynagradza mi wszystkie bezpańskie noce.

MICKIEWICZ: Porzucony w rowie o piątej nad ranem, kiedy po mnie idziesz, kiedy się mnie boisz, kiedy czujesz, że mogę ci złamać kark, tylko w tej jednej małej chwili mnie dotykasz. Zatrzymajmy kadr. Pochylasz się nade mną, drżysz. Po omacku szarpię cię, wciągam w błoto, próbuję cię pragnąć niesprawnymi od nadmiaru dłońmi.

CELINA: Zostańmy tak na chwilę, cicho.

WŁADYSŁAW: Muzyka fantastyczna, jak oddaje nastrój. Jak ja bym chciał się w tych obrazach znaleźć, w szlachetnej, rodzinnej twarzy Tadeusza.

MICKIEWICZ: Odślaniam twarz i nie ma już osoby, która nie miałaby powodu by w nią napluć.

CELINA: Choć cień iluzji, choć dzień.

MICKIEWICZ: Kocham wino, które układa mi długie godziny w sonet, czy wiersz. Kocham dziwki, których skowyt sam się pisze w powieść. Lubię łamać opór, lubię patrzeć jak się coś pode mną łamie. Lubię się obudzić twarzą w gównie miejskim i wstydzić się przed sobą. I wstyd popijać kolejnym wieczorem. A potem na salonach pytają.

PRZEMIANA/ GDZIE TY TERAZ JESTEŚ

TOWIAŃSKI: Czy panu pisanie wystarcza? Czy jest pan spełniony jako artysta i jako człowiek? Czy nie przerażają pana oczekiwania, względem pańskiej działalności? Czym nowym nas pan dzisiaj uraczy? Czy nie jest pan przygnieciony meteorem?

MICKIEWICZ: Przyszli po mnie. Ten akcent, przed litewską nutą nie da się zakorkować ucha. Jak tylko ucieknę czy na wschód, czy na zachód, już mi się prawie zapomnieć udaje, to ta ojczyzna jak zdradzona córka Wiktora Hugo w każdych mi w drzwiach staje. Rzuca się na mnie i podwaja echem skargi i żale. I obwisłe sumienie budzi rozjątrzona.

KAROLINA: Jesteśmy z podróży, znajdzie się dla nas łóżko i szklaneczka wódki?

MICKIEWICZ: Skończyła się dwa dni temu. Już dwa dni puste, przeźrocyste, długie jak na ukochaną czekanie.

TOWIAŃSKI: Tu się nic nie mogło skończyć. Dopiero się zacznie wesele.

MICKIEWICZ: Dwa dni jak „wszystko umilkło szczere pustki w domu, nie masz zabawki, nie masz obśmiać się nikomu, z każdego kąta żałość człowieka ujmuje a serce swej pociechy darmo upatruje.”

TOWIAŃSKI: Władziu kurwa idźże do sklepu, poproś nalewki, powiedz, że po wykładzie tata doniesie zapłatę.

WŁADZIU: Nie pójdę.

TOWIAŃSKI: To poślij Celinę.

MICKIEWICZ: Idź trzeba podjąć gości. Dla zacnego towarzystwa w dobrym tonie jest odstępstwo zrobić.

TOWIAŃSKI: Prędzej Władek, nie widzisz jak tatusiowi ciężko się mówi, jak mu się brew trzęsie.

RAM: Nu ja ci nie będę więcej kredytu udzielał, bo się w tobie już całkiem utopi poeta. Jak wybieram co piątek z kosza waszego papiery, żeby towar poowijać. O papier ciężko przecie. A klient nie zawsze ma swój. To na tych twoich dobrej przecie jakości kartkach ino po jednym zdaniu napisane i do śmieci. A i to jedno nie zawsze wyraźne.

MICKIEWICZ: Dawaj ostatnią, już więcej nie będę cię prosił. Państwo przyjechali z daleka, trzeba podjąć gości hojnie po naszemu.

KAROLINA: Towiańscy, z tych Towiańskich, o których mędracy nakazali milczeć.

MICKIEWICZ: Celina częstuj, dawaj kindziuk z walizki. Zagraj coś z repertuaru mamusi dla podróżników. Jedna taka noc kto wie czy nie ostatnia. Zeszli się wszyscy. Ram i ty z nami posiedź, dziś zdaje się nie sobota.

RAM: W sobotę muszę mieć otwarte, interes jeszcze za mało wydajny, żeby dzień święty bez szkody dlań święcić.

CELINA: Czy przyjdą dziś jacy młodzieńce? Czy mi powykręcają ręce? Czy poigram troszkę z nimi? Ciężko się dostroić do romantycznej miłości standardów. Czy nie jestem za mało tragiczna? Czy nie powinnam bardziej jednak cierpieć, kiedy przez dziurkę od klucza spoglądam jak on spogląda w Ksawery odmęty? Jak z nią szuka przeżycia? A ja nic tylko patrzę czasem i Władzio ze mną patrzy i napatrzeć się dziecko nie może.

WŁADYSŁAW: To tylko przywidzenia takie malarskie. Czymś trzeba żyć. Z czegoś mieć pasze na doznanie.

MICKIEWICZ: Toasty, toasty, za was, za nas, za ojczyście strony, za domek biały z drzewa, ten podmurowany, toasty za serce co ustało i pierś lodowatą toasty, toasty.

KAROLINA: Czy to tu odbywają się te osławione Dziady?

TOWIAŃSKI: O nie, nie, nie mogę firmować swoim jeszcze nie obciążonym hipoteką ideologiczną nazwiskiem tego co się tam wyprawia w tej kaplicy. Nie mogę przecież wziąć udziału w tak nacjonalistycznym utworze, nawet w celach naukowych.

KAROLINA: A ja chcę coś poczuć, co by mnie zdruzgotało, zaatakowało moje skurcze myślowe. Poprzestawiało automatyzmy wyćwiczone na siłowni ducha.

TOWIAŃSKI: Wiesz jak naszą tu obecność można wstrętnie potem wykorzystać?

KAROLINA: Bardzo mi się podobają ci jurni mężczyźni, bardzo im pasują mundury, odznaki, strzelby rumiana odwaga. Jestem gotowa jako artysta i jako widz żeby mnie oblewali uryną po twarzy.

VIDEO

MICKIEWICZ:

Samotność - cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?

Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,

Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?

Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trudzi:

Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;

Myśl z duszy leci bystro, nim się w słowach złamie,

A słowa myśl pochłona i tak drżą nad myślą,

Kurwa.

KSAWERA: Jakie to pięknie.

KAROLINA: Jakie radykalne.

KSAWERA: Trzeba tylko zmienić melodię tego dzieła, skupić się na tych egzystencjalnych dźwiękach: samotność, pieśń, myśl, oko, właśnie oko, głos, język, drżące od słów ciało. Ty nie potrzebujesz żadnego kontekstu, żeby istnieć, żeby się obronić.

KAROLINA: Koniecznie trzeba mu postawić wroga, żeby mógł oddychać.

TOWIAŃSKI: Są papiery, notatki podpisane twoją ręką. Są pewne listy od Filomatów. Są pewne dowody, że nie przypadkiem znaleźli się w celach. Są pewne obrazy, które ci na szyi zaciskają pętle. Są pewni ludzie, którzy cię w ostatniej chwili od sznura odcięli. Są pewne fakty, które powinny w glorii zyskać nowe życie. W Wilnie w Warszawie dużo się pisze twoich biografii. Właściwie każdy już napisał swoją.

MICKIEWICZ: Czego ty chcesz przybłędo, który nawet nie jesteś kronikarzem?

TOWIAŃSKI: Nadać kształt Ludzki pierwszej świątyni wzniesionej pod natchnieniem mojej wiary, stawianej moim językiem.

MICKIEWICZ: Przecież nie napisałeś ani pół sonetu.

TOWIAŃSKI: Dawni poeci tacy jak ty posuwali się wolnym rymem wieków, nie potrafili skakać. Ja jestem skoczkiem i poezją nie potrzebuję autora i autorytetu.

MICKIEWICZ: Nie potrafisz zwyciężyć. W nas jest siła, w nas jest duch milionów.

TOWIAŃSKI: Mój świat teraz brzydzi się siłą i bohaterami. Tu, w twojej zdradzie, porachunkach, w twojej biedzie spoczywa głowa mej świątyni.

MICKIEWICZ: Aresztuj, aresztuj! Jeden mój telefon do braci moskali i będzie kibitka.

TOWIAŃSKI: Czołem mej świątyni będą twoje ręce Adamie. Zmyję z nich winę i krew. Jej sercem twe palące lędźwie.

KAROLINA: Nie bój się jaw, nie bój się zjaw. Co prawda, co jawa wszystko dziś zabawa. Raz, i do tańca raz. Każdą zbrodnią, każdą zdradą bawmy bracia się, niech z nas widma powyłażą, niech z nas wyjdzie czart. Spuście bracia święte tony. Nie tak będziem wyć. Dajcie wasze barytony żeby swinią, zmiją być.

UCIEKŁY WIDMA

MICKIEWICZ: Uciekły widma i pieśni. W Moskwie błyszczałem jak ten dyjament. Słowa me płakały w ludziach miesiącami, młodzieńcy kochali się na moją modłę. Kiedym wyjeżdżał była żaloba narodowa i cerkiewne modły. Rosyjskie dziewczęta w grupie mi się oddawały. A w Warszawie już skurwysyny czekali, żeby mi konia dać i szablę. I ciągle czyn, czyn, wielki czyn powstańczy.

KAROLINA: Czyń swą powinność bracie wodzu. Dla ciebie nie szablę a czołg pod sceną mam.

TOWIAŃSKI: Z ciemienia twojej głowy zmiotę katolicki chram i na tak uprzątniętym miejscu zasieję czuprynę z dzikich drzew i kwiatów. Celino ty jesteś zamętem, będziesz czupryną. Powyżej piersi twojej, w punkcie, w którym skupiają się i skąd się rozchodzą wszelkie namiętności, w którym pulsują cierpienia i radości, postawię mój ołtarz. Ty jesteś ołtarzem

Ksawero. Moja świątynia ma postać upadłego człowieka gotowego do marszu. Gotowego ruszyć w świat.

RAM: Jestem gotowy do marszu.

MICKIEWICZ: Ilu nas jest?

RAM: Jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu... Jest nas dziewięciu.

TOWIAŃSKI: Jednego brakuje.

KAROLINA: Złapałam go w ostatniej chwili, prawie spadł ze sceny. Seweryn biedny ciągle mający, znów rozwolniony, znów wypłukany z minerałów życia. Nie może z tobą iść. Zatrzymuję go do swoich celów badawczych.

GOSZCZYŃSKI: Im więcej poszczę tym intensywniejsze sny, nawet jak nie śpię ukazują mi swoje oblicza pazerne.

KAROLINA: Chcesz mnie dotknąć? Na pewno dawno nic miękkiego nie dotykałeś. Przez palce ci przelecę, przez twarz, zostawię mały ślad. Może będę ostatnim ciepłem. Może po mnie będzie tylko cisza. Znałam kogoś kto tak samo pachniał. Jestem silna wezmę cię na rękę i zaniosę gdzie będziesz chciał. Opowiedz mi jak wbijałeś nóż w uciekającego generała Aleksieja Gendre mój listopadowy bohaterze. Podobno nóż wchodził weń jak w masło. Dziś twoją ulicą na Mokotowie szłam ci na spotkanie. Myślę żeby tam postawić muzeum na pamiątkę twoich bohaterskich pokus. Obudź się. Wpuść mnie, wpuść Sewerynie. Nie pozwolę ci leżeć odłogiem. Jeszcze nie. Pokaż jak się robi miłość nawet z rozrusznikiem serca. Wpuścić mnie, otwórz drzwi. Jak mnie nie wpuścisz to cię zrzucę. Tak się nie da pracować.

Dla was też mam pończochy, kozuchy proszę dary z Litwy, nasi chłopcy pamiętają o bohaterach narodowych każdego kalibru.

TOWIAŃSKI: Chodźcie bracia, zdrady, tchórzostwa, kradzieże, dezterzy, kolaboranci, przegrani, słabi, upadli.. „Chodźcie do mnie wszyscy, którzy pogrążeni jesteście, ja was pokrzepię.” Krzyczmy swoje pamiętniki, spowiedź to nie defekacja, żeby ją po cichu czynić.

Dziś nie ma ciszy nocnej. Dziś można krzyczeć. Czy ekspresja ma jakieś granice?

RZĄD DUSZ

KSAWERA: Naprawdę już nie chcę się wstydzić na marginesach, że mnie wyrzucił razem z dziećciem na rękę w wigilię samą, a ja mu się mimo to na śniegu oddałam. A córka obok

piszczała prawie zamarznięta. Potem za miesiąc na płuca umarła a wieszcz nawet na trumienkę nie dał, ani na całunika. Sama wyśpiewać pochówku nie zdołałam. Przepiłam pogrzebowe tantiemy, zasiłki. Trafiła do mogiłki zbiorowej razem z bezdomnymi. Taka maleńka w gazetę owinięta. W gazetę co twoim błyszczała obliczem Adamie. Lecz dla tej jednej na śniegu minutki mogłabym jeszcze więcej oddać łez.

RAM: Macie i ode mnie towar. Co mi sklep prowadzić samemu. Panie ja panu dam mój sklep pod wynajem na Koło nasze. Czynszu nie będę pobierał. I tak zawsze będę miał kapitał, nawet jak mnie ograbicie. I o tę scenę narodową się nie upomnę, choć w papierach moja, bo gardzę tą ziemią, tym brukiem. I wami też pewnie kiedyś będę gardził, bo sami prosicie.

MICKIEWICZ: Naród wybrany tylko drugi naród wybrany zrozumie.

RAM: W końcu Boga Ojca razem my produkowali i na świat pogański dystrybuowali skutecznie. Większe rzeczy jeszcze razem wytworzyć zdołamy. Trzeba tylko wyczuć czego teraz ludziom trzeba.

MICKIEWICZ: Ja po matce Izrael, po matcem nie wisiał na ćwieku. Po matce żywy olbrzymi. Po ojcu rycerz, patriota.

RAM: Rycerz w tobie zblądził, na żadne powstanie nie trafił, na żadną walkę uliczną nie zdążył.

MICKIEWICZ: Tym razem trafi.

RAM: Gdybyśmy się w duchu i materii zjednoczyli, następny wiek wyglądał by zupełnie inaczej.

MICKIEWICZ: To my byśmy stwarzali Niemcom i Moskałom warunki do pracy, co by ich życie od trosk uwalniała.

RAM: Dziś bylibyśmy potęgą gospodarczą, ekonomiczną, terytorialną, może nuklearną.

MICKIEWICZ: Róbmy chociaż legion.

RAM: Daję kapitał, mam oszczędności.

MICKIEWICZ: Ja wnoszę dziedzictwo duchowe.

RAM: A co moim Bogiem trudniej drzwi otworzyć?

CELINA: Bóg Izraela senny, wielki i zbyt ciężki do użycia.

MICKIEWICZ: Mogę się z tobą podzielić moim po ojcu dziedzictwem, nie będziesz żałował. Sam ci mogę sakrament udzielić.

RAM: A niby co mi z tego maleńkiego Boga, zdaję się że trupa?

CELINA: W tym kraju każde zwłoki święte.

RAM: Mam się przekwalifikować na dewocjonalia?

Patrzaj ty na mnie, człowieku!
Jestem Izraelitanką.
Mój Bóg nie wisiał na ćwieku,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiej górze
Pośróddwunastu piorunów
W czarnej i ognistej chmurze
I rozbłyskał się na całe niebiosy;
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni,
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!
A jak spojrzy-to się góry pokłonią!
A jak błysnie-to ślepoty na ludy!
A jak zagrzmie-to się groby odsłonią,
A jak ścichnie-świat się cały odmieni,
A skrzę rzuci- to świat będzie z płomieni
I w słoneczne się ognie roztrząśnie;
A brwi zmarszczy na czoło-to zgaśnie
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie-świat zniknie
I nie będzie ani mnie, ani ciebie,
Tylko ciemność i sam Pan Bóg na niebie...
I któż jesteś ty? gwałtowny goimie?
I któż jesteś ty, chrześcijaninie?

KSAWERA: Mam dobrą pamięć, nic mi nigdy nie umknęło. Pamiętam dokładnie jak cię Adam ochrzcił, sama przecież byłem twoją matką chrzestną. A potem ten chrzest razem konsumowaliśmy długo we troje.

RAM: Dziś się tego wstydzę. Wasz Bóg to nie mój rozmiar, że się tak wyrażę. Mój olbrzym też bezużyteczny

CELINA: Tutejszy bóg swojski, dostępny w wersji kieszonkowej. Służy za kałasznikow, tym, którzy nie mają pozwolenia na broń.

MICKIEWICZ: Ja mam na przykład pozwolenie, wieczorami celuję sobie w skroń, o tak.

KSAWERA: Również potrzebuję intensywnych wrażeń. Mam w biurku nożyk i kroję sobie takie szlaczki na pamiątkę wåtpliwych miłości.

MICKIEWICZ: Zawsze naładowana. Czekam, czy szatan naciśnie za spust, czy nie naciśnie. Myślicie, że trafi?

RAM: Nikt już takiej odwagi nie kupuje. Stoi u mnie na półkach zasypana kurzem. Bohatera wojennego trudno sprzedać nawet w pakiecie z całym polem bitwy. Wygryzają nas rakiety, bombowce, samoloty widma.

MICKIEWICZ: Bądź moim doradcom handlowym na rynek wschodni potrzebuję.

RAM: Daj próbkę towaru.

Teatr, improwizacja...upominamy się o bohatera narodowego

MICKIEWICZ: W trakcie powstania listopadowego, w którego patronat próbuje się mnie wrobić przebywałem na wsi. Celowałem sobie w skroń tym koltem trzy tygodnie bez przerwy, aż mi ręka drętwiała i stwardniała. Do dziś nie mogę nią pisać. Próbuję lewą robić wielkie rzeczy, ale lewą nie trafiam w ton. Powstanie dawno się wyczerpało, a ja dalej wieczorami celuję, już z przyzwyczajenia. Ała. Bo mnie filomackie widma karzą, bo na mnie ponoć w więzieniu wudu zaklinali i teraz nawet fraszki nie mogę napisać. Ała, Ała.

BLISKI CZŁOWIEK

KAROLINA: Miałam do czynienia z rękami, które wbijały nóż, zaciskały się na szyi, pociągały za spust w afekcie. I je uzdrawiałam. Ty zawsze miałeś rękawiczki. Kalkulowałeś. Takim jak ty się pomóc nie da.

TOWIAŃSKI: Właśnie z tych najgorszych wstydów i wypaczeń robię dziedzictwo narodowe. Twoimi grzechami przestrzeń miejską przyozdobię, żeby wzięła wreszcie głęboki oddech od przeszłości.

RAM : Nu i co tak drogo kupionym wzrokiem wodzimy po sobie w obawie przed sobą?

MICKIEWICZ: Do kogo przynależysz? Z której jesteś strony? Do czego w końcu chcesz przekonać?

TOWIAŃSKI: Nie przynależę do tego społeczeństwa, ani do żadnego z jego wytworów. Nie schodzę z obrazka jak ten, z którego męki zrobiło się największe więzienie. Nie uwodzę cię, ani nie obiecuję. Nie będę was do niczego przekonywał. Po żadnej stronie się nie opowiem.

Byłem w zakładzie poprawczym w zakładzie psychiatrycznym w zakładzie karnym w zakładzie zamkniętym. Nikt mnie jednak nie poprawił, skutecznie nie wyleczył, ani nie ukarał. Nie nasiąknąłem tytułami, odznaczeniami, żadnymi karnetami na jakieś przeżycie. Jeśli potrzebujesz mnie na odpady będę twoim śmietnikiem, jeśli potrzebujesz mnie nasennie będę cię głaskał po głowie. Jeśli chcesz się mną przykryć ochronie cię przed spojrzeniem i mrozem. Jeśli chcesz sobie odpuścić będę twoją pętlą. Jeśli chcesz rozkoszy będę otwarty i sztywny. Jeśli potrzebujesz winnego będę winnym. Nic o sobie nie wiem, nic o mnie nie wiesz, nie musimy nic o sobie wiedzieć.

MICKIEWICZ: Dawno żaden człowiek nie wydał mi się tak bardzo bliski.

TOWIAŃSKI: Sam mnie tam zaprosiłeś dawno temu w Dreźnie. Niema noc na kartkach papieru widzisz ptactwo, spod paznokci robaki wyłazą, pocisz, ręka sama coś pisze, idzie na przekór myśli, ucieka przed myślą. Popisuję coś bo musi podpisać? Ledwie oddaje podpisany papier, sama zaczyna pisać na kamienicy, na ścianach pokoju ,na łożu i na samej sobie. Co masz pod spodem?

MICKIEWICZ: Ręka mi znów zamarła jak wtedy.

TOWIAŃSKI: Chcesz się przed ręką schować.

TOWIAŃSKI: Pokaż co masz pod spodem.

Chopin

BOJĘ SIĘ TEGO PANA

WŁADYSŁAW: Tato boję się tego pana.

MICKIEWICZ: Uspokój się, trzeba jednak najpierw poznać i oszacować człowieka.

WŁADYSŁAW: Nie widzisz, jak cię rozbiera, i gwałtem sprowadza na ziemię.

MICKIEWICZ: Trzęsę się, nie mogę być teraz sam. Potrzebuję, żeby było tu dużo ludzi, bardzo dużo, żeby mnie inspirowali, podziwiali, żeby mnie obrażali, ekshumowali i rozgrzebywali. Nie wytrzymam sam ze sobą nawet minuty. Wolę umrzeć w sile wieku w zatłoczonym teatrze, niż na starość w pustym. Wolę umrzeć głośno zdemaskowany niż cicho zapomniany.

WŁADYSŁAW: Jesteś dla nich tylko organizmem, głosem, czupryną. Nic nikogo nie obchodzi, co się z tobą stanie kiedy wyjdiesz ze światła. Tato ja się w twoim nie poznaję głose. Uczyłem się o tobie i już cię umiem lepiej niż ty sam możesz się pamiętać.

MICKIEWICZ: Przykra sytuacja, kiedy dorosły chłopak łązi za ojcem i zbiera wszystko, co z ojca wypadnie.

TOWIAŃSKI: Mądry chłopiec, piękna postura, twarz. Wie, jaką karierę można zrobić na właściwych zwłokach. Synowska dłoń czeka, żeby ojca wypatroszyć, powypychać zwłoki bohaterstwem i postawić na reprezentacyjnym miejscu. I reprezentować wypchanego ojca interesy własne.

WŁADYSŁAW: Zostaw go, on jest mój, nie dotykaj, rozbijesz, nie widzisz jaki zmęczony jaki delikatny. Tatusiu ja cię pozbieram do kupy.

KSAWERA: Ojciec wcale nie ma na ciebie ochoty.

GRANICE KREACJI

TOWIAŃSKI: W Wilnie głosiłem, że wszystkim bez wyjątku musimy się dzielić. Wszystko oddać, wszystkiego się wyrzec. Porzuciłem męża, żonę, ojca, matki, synów, córki, teścia, zięcia, szwagra, wstyd, księgi, prawdy, żale.

KAROLINA: Myśmy na przykład jeszcze w drodze z Wilna wymienili naszą czwórkę dzieci na siostrę Ksawerę.

TOWIAŃSKI: Tylko na zupełnie oczyszczonej scenie może powstać coś całkiem nowego.

KAROLINA: Z siostry Ksawery więcej ostatecznie miłości powszechnej wynika. A o miłość szczodłą, darmową ciężko w każdych czasach. Siostra Ksawera szkoli się u mnie w bezgranicznym oddaniu. Ma duże predyspozycje na piękną ofiarę.

KSAWERA: Jestem zainteresowana zaistnieniem w branży, głównie z powodu innowacji w dziedzinie działań wspólnotowych, w które bardzo wierzę.

KAROLINA: Większość przedstawień jest nudna i wtórna, nie podnieca w ogóle wizualnie, ani fizycznie.

KSAWERA: Dla szczodrych kobiet każda noc za krótka.

KAROLINA: Zaskocz ich. Zastanawiam się, jak by sądzono Hamleta gdy by przypadkiem albo nie przypadkiem użył prawdziwego noża.

KSAWERA: Tylko garstka aktorów próbuje przesunąć granicę tego, czym może być człowiek. Chcę być jedną z kobiet, które decydują, które tworzą matrycę dla reszty.

KAROLINA: Czy potrafisz się tak przegiąć? Czy potrafisz tak podnieść poprzeczkę i skoczyć bez przygotowania? Ja nie czuję się przez nikogo wykorzystywana ani nie czuję się winna dlatego, że odczuwam realną przyjemność, kiedy on, albo on dusi mnie tu, opluwa czy szarpie. Czy jednak chroni mnie cudzysłów? Czy pan może pocałować tę kobietę? Czy pan również jest w cudzysłowie?

TOWIAŃSKI: Zdrowie to ten naprężony biceps. Zdrowie to się puścić i już nie zatrzymać. Bracia żadnych więcej granic. Żadnych oczekiwań spełniać nie będziemy.

KAROLINA: Nic nie planuję zaplanowane dążenie to hamulec jak wszystko inne. Zresztą przeszłość przeraża mnie nawet jako idea.

TOWIAŃSKI: A ciebie chłopcze tatuś tylko kręci?

WŁADYSŁAW: Ile lat mi zajmie po was posprzątanie?

KSAWERA: Puszczę ci „Napoleona i Józefinę”. Może ci wujek Napoleon podpowie jakieś słuszne, stosowne do wieku i płci pragnienia.

WŁADYSŁAW: Piorę paskudne plamy ojca na twoich sukniach. Patrz, jak sobie ręce zniszczyłem wybielaczem. Listy sortuję, wypalam, a wzrok sobie i tak popsułem i wiarę osłabiałem, żeby cię ratować. Tato ile razy mam cię prosić, żebyś nie schodził z regału. Tato, napij się Chopina, tylko nic nie rób, już swoje powiedziałeś, wystarczy, że będziesz odcinał kupony.

KSAWERA: Władziu, po co ci tak czyścić, po co? Zabaw się z nami, ściągnij ten mundurek.

TOWIAŃSKI: Nam się wszystko wybacza, robaki w trumnie wszystko nam wybaczą, każdy smrodek. Tobie też się wybaczą, możesz tu zrobić nawet to co przed chwilą w łazience robiłeś ze zdjęciem mamusi.

KSAWERA: A może to były moje figi?

WŁADYSŁAW: Wymarzę cię i nikt cię nie odkryje, a twoje bękarty pozbawię danych osobowych na mogile. Nie przywrócę cię Historii nawet „Brązownicy”. I na trumny dla twoich bękartów z ojcowizny nie dam ani franka.

TOWIAŃSKI: Tatuś jest jak mur berliński, w końcu go rozbijemy i każdy zatrzyma po kawałeczku. Dla ciebie na pewno zostanie udko może aforyzmy z księgi pielgrzymstwa, może inwokacja. Albo i nic nie zostanie jak cię inny brat przelicytuje.

KSAWERA: Władziu, przyjdź jak będziesz miał coś naprawdę spektakularnego.

GOSZCZYŃSKI: Patrzcie i wstydźcie się jak na emigracji umiera poeta, jak mu więdną narząd, jak mu się słowa dotkliwie plączą.

KAROLINA: Rykoszetem rodzi się powstaniec, lecz ty Sewerynie chyba nie dasz rady powstać.

KSAWERA: Od razu nuta się na język ciśnie, palec na fortepian sam biegnie w mazurki.

GOSZCZYŃSKI: O tak, powstania to jedyne nasze okazje żeby poświętować, w tej samej grupie krwi, w tych samych mundurach, obrazach, w tym samym serca biciu.

RAM: Powstańmy ku jedności bracia, równy wyznaczając ton. To ten ton, baryton Adama, mój alt. Ruszmy legion wreszcie. Dawnośmy nie pośpiewali.

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna, -

Krew poczuła - spod ziemi wygląda -

I jak upiór powstaje krwi głodna:

I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.

Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga,

Z Bogiem i choćby mimo Boga!

I Pieśń mówi: ja pójdę wieczorem,

Naprzód braci rodaków gryźć muszę,

Komu tylko zapuszczę kły w duszę,

Ten jak ja musi zostać upiorem.

Tak? zemsta, zemsta, etc, etc,

TOWIAŃSKI

Chociaż Żyd dosyć czystą miał polską wymowę,

Szczególnie zaś polubił pieśni narodowe.

Potem pójdziem, krew wroga wypijem,

Ciało jego rozrąbiem toporem:

Ręce, nogi goździami przybijem,

By nie powstał i nie był upiorem.

Tak zemsta....

TOWIAŃSKI

Było cymbalistów wielu,
Ale żaden z nich nie śmiał zagrać przy Jankielu.
Jankiel przez całą zimę nie wiedzieć gdzie bawił,
Teraz się nagle z głównym sztabem wojska zjawił.

*Z duszą jego do piekła iść musim,
Wszyscy razem na duszy usiędziem,
Póki z niej nieśmiertelność wydusim,
Póki ona czuć będzie, gryźć będziem.
Tak! zemsta, zemsta, etc. etc.*

ALE CZY NASZE SERCA BIJĄ RÓWNO

TOWIAŃSKI: Ale czy nasze serca biją naprawdę równo?

GOSZCZYŃSKI: Moje maszeruje odważnie.

TOWIAŃSKI: Dajmy serca na zestaw głośnomówiący. Trzeba serce nakręcić do wspólnego bicia! Adamie nakręcaj obrazem słowem, ojczyzny krocem!

MICKIEWICZ: Nie wzruszę, nigdy już nie poruszę, łzy wspólnotowej nie wycisnę. Nie ma na mnie kontekstu i na moje Dziady. Oj musieliby bracia Moskale, bracia Bolszewicy znów ruszyć, znów ojczyznę gwałcić i plądrować z Jarzębiną Czerwoną na ustach. Oj Boże, to były dla poezji czasy, a film z patriotycznym odruchem tryumfował na światowych festiwalach. A dziś takiej ojczyzny, która najbardziej przypomina tirówkę przy szosie, nikt by nie zgwałcił nawet za opłatą. A plądrować to mógłby chyba ze wstydu, ze zgryzoty, bo inne złoża sama wyprzedala najeżdźcom. I kto ją tak biedulkę zdegradował kto?

RAM: Może ja?

TOWIAŃSKI: Nie słyszę, żeby jakieś serce zabiło głośniejsze, żeby komuś serce pierś opuścić chciało.

KAROLINA: Tak, tak, potrzebujemy żeby nas coś wreszcie porządnie wkurwiło, żeby się wszyscy pobudzili z tego zadowolonego czy niezadowolonego marazmu.

RAM: Ja was mogę bardzo łatwo wkurwić.

KAROLINA: Potrzebujesz pomocnej dłoni, czy swoją ręką dasz radę?

RAM: W waszych domach, za sto lat moje prawnuki zawisnął na swym genealogicznym drzewie. Będą dyndać i dyndać a wy się będziecie gapić i pytać co to, co to. Zaslaniać i palić zakrwawione płótna.

MICKIEWICZ: Co jak co, ale nikt z nas do twojej zagłady ręki nie przyłożył. Moje praprawnuki też się bardzo wycierpiały, wykształcone, wrażliwe, delikatne. Oczy sobie popsuły i już nigdy nie widziały dobrze.

RAM: Przeżyły?

MICKIEWICZ: Jakoś przeżyły, dawały świadectwo.

RAM: Gdzie twoje świadectwo?

MICKIEWICZ: Do dziś dają. Pisali wiersze o butach, warkoczach, piecach, piramidach. Myśmy twoim potomkom zbudowali pomniki, muzea, zabytki UNESCO. No może nie my, ale myśmy o nie zadbali, żeby pamiętały, żeby świat oglądał ku przestrodze, ku sumienia wstrząsom.

RAM: Moje drzewo się skończyło, nikt nie przetrwał nawet jako upiór, nawet jako bohater wierszyka. Gdzie wtedy byliście wieszcie?

TOWIAŃSKI: Serca Adama i Rama mają wspólny rytm, wspólna ich nuta ku wyżynom niesie. Dzikimi skaczą przez dżunglę susami, przeszłość z przyszłością zrosły się w ich skokach. O Boże przez druty kolczaste nie mogą wspólnie skoczyć, choć jeden drugiemu pomaga się odbić.

RAM: Gdzie byli malarze?

MICKIEWICZ: O twojej rodzinie „Ostatni zajazd w Treblince” napiszę i tak napiszę, że czytelnik zaszłocha głośniejsz niż na „Pokłosiu”. I zmartwychwstać muszą ze mnie twoje dziadki. Za moim przykładem każdy obywatel jakiś utwór o twojej tematyce utworzy.

RAM: Co utworzy, teraz twórzcie i ty Seweryn też.

GOSZCZYŃSKI: Nie mogę z sercem grać, że mnie twoja tematyka głęboko porusza. Mogę wycisnąć jakąś elegię ewentualnie.

KSAWERA: Mam pieśń na tę okoliczność.

RAM: Ja chcę kurwa fraszkę.

MICKIEWICZ: Gościu, siądź pod mym liściem, a odpocznij sobie!

Nie dójdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,

Choć się najwyżej wzbije, a proste promienie

Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelane cienie.

Tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają,

Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają.

RAM: Kochanowskim mi oczu nie wyciskaj, twoją fraszkę, wszawą fraszkę dawaj. Chcę się śmiać ze strasznych mojej rodziny losów, krzywd, zbrodni, zębów złotych, włosów, dymu, mydła. Mam fotografię rodzinne w biurku, z peronu jak my się z małżonką i synami cukierkiem krówką na siedmiu dzielili przed ostatnią wspólną podróżą wagonem, zresztą Roman to sfilmował prawie dokumentalnie. Steven też sfilmował okołofabularnie. I zdaje się z tej obsady ...ty śpiewałaś. Twojemu dziadkowi pokazałem płakał, łkał, zawodził a ja się śmiał i popcornem zagryzał. Innym razem wzięli mnie ze szkołą na wycieczkę obligatoryjną do tych waszych obozowisk. Wychowawczyni płakała, koledzy z wyuczonym wzruszeniem fotografowali bućki. A ja się rozejrzałem, pomierzyłem krokami powierzchnię, oszacowałem miasto. Gęstość zaludnienia wystarczająca, rozrywki porządnej brak. Ponoć nie wypada tam się głośno śmiać. Zamarzyłem, że kiedyś kupię sobie cały ogrodzony drucikami teren. I zrobię najlepszą dyskotekę w całej okolicy z basenem, sauną, z paintballem, a przede wszystkim z nowoczesnym kosmopolitycznym burdelem, z panienkami wszystkich ras, które tu w wojnę bywały. I ten cały kompleks twoim imieniem nazwę, Adamie. Na pamiątkę, na żywą pamiątkę. Zamiast pomników. To co tam już stoi to bym nawet nie wyburzał, swoje dobuduję, żeby kontrast zrobić. Znów się zaludni moim życionośnym kontrastem, a nie śmiertelnym milczeniem. Poszedłem do dyrektora, pytam się ile to może być warte powiedział, że świadectwa nie mają ceny, że ja jako Żyd najlepiej powinienem o tym pamiętać i że jak o takie rzeczy śmiem nawet zapytać. Przedstawiłem mu tak czy owak mój business plan zagospodarowania. Zemdlął, a ja się śmiał. I do dziś się śmieję. Śmiech mnie ze wszystkiego wyleczył z dziadów, z wnuków, z historycznych prawd i prawideł. Ty Adamie jak się nie nauczysz śmiać, to cię każdy będzie jak ja teraz na poczucie winy ruchał tak jak powstańcy, filomaci, filareci, pokolenia Kolumbów, pokolenie stracone, żołnierze wyklęci i wszystkie inne dobrowolne ofiary. Jakbym się przestał śmiać to bym musiał jęczeć przeciwko innym jak ty. Śmiech mi cały świat każe umiłować, każdą chwilę, każde parszywe zwierzę i przeżycie.

MICKIEWICZ: Ram kochany ja bym się dla ciebie obrzezał. Nie ma doświadczenia, z którego bym wszystkich soków nie umiał wyzyskać. Dla ciebie i przez pamięć na matkę moją Barbarę z Majewskich powietrze na dwadzieścia minut zatamuję sobie tym narzędziem. Jak w komorze, jak w gazowej łaźni. Licz czas i nie odcinaj.

RAM: Pojechało cię doszczętnie, nie zaciskaj, krzywdę sobie zrobisz. Nie chcemy tu na razie trupa. Igrasz z tym biednym życiem i to ci tyle energii zabiera że przestajesz już nawet mieć z frajdą igrania. Ja zaś ze wszystkiego mam olbrzymią frajdę.

TOWIAŃSKI: Serce Adama bije jak szalone, pędzie, pędzi stacja Wilno, stacja Moskwa, stacja Gaza, pędzi, pędzi a ja stoję.

RAM: Jego geniusz naprawdę moim potomkom odkupienie daje.

CELINA: Mojego wcale nie słyszeć, a przecież żyję i jestem częścią Koła.

MICKIEWICZ: Pomogę ci, zakładaj na szyję. Módl się we wszystkich językach, kolorach i rasach.

CELINA: Mocniej, mocniej też chce coś poczuć.

MICKIEWICZ: Jeszcze nigdy nie było nam tak intensywnie.

CELINA: Mocniej. Nie przestawaj. Niech się ponapawam.

TOWIAŃSKI: Przyłączcie się wy, którzyście marzenie o szczęściu rozmienili na drobną monetę postępu, wygody.

CELINA: Tu się produkuję miłość romantyczną, twardą i czułą, która może zabić.

MICKIEWICZ: Upajam się plugastwem wydzielin mego prawie trupa.

KARLOLINA: Przynajmniej Celina ma motywację żeby się przekroczyć.

CELINA: Ktoś się we mnie poczał przypadkiem. Ktoś we mnie zagnieżdża swoje wielkie życie. Kobieta zawsze czuje takie spawy dobrze. Która to godzina, data, dzień, trzeba pamiętać. Trzeba zapisywać.

MICKIEWICZ: Z winy rodzą się najlepsze rzeczy tego świata.

CELINA: Godzina Gustawa. To będzie godzina Gustawa.

MICKIEWICZ: Konrada, mówię że Konrada.

CELINA: Matka głębiej czuje kto się poczynąć poczyną.

MICKIEWICZ: Daję sygnaturę, wymagam kontynuacji moich przecież losów.

TOWIAŃSKI: Bije, bije Zygmunta dzwon.

MICKIEWICZ: Konradowe głosy, konradowe szable, za ojca pójdą się bić, gdzie ojciec nie trafił Konrada posyła.

CELINA: Gustawowy płacz, miłosne uczucia odziedziczył po mnie.

MICKIEWICZ: Cisza, serce Konrada pierwszy raz zabiło.

TOWIAŃSKI: Zabiło, zabolalo, ale równości, jedności braterskiej z tego nie wycisnę. Czegoś brak.

KAROLINA: Teraz najważniejsze jest przekonać ich do siebie. Niestety wrażliwość odbiorcy stępieja się szybko. Czas wzmocnić środki wyrazu gwałtownie, dziko.

TOWIAŃSKI: Nasi odbiorcy wejdą w nas głębiej niż sami możemy wejść. Nasi odbiorcy poćwiartują nas na małe kawałeczki i złożą w nowe twory, w których nie poznamy samych siebie. Oddajemy się bez reszty wyobraźni naszych konstruktorów.

KAROLINA: Właśnie przechodzisz w nic nieznaczące wspomnienie, przystawkę prawdziwej nocnej przygody. Weź mnie ze sobą w tę noc. Bo jak mam poznać ich ciała, ich wilgotne ręce, ich łzy? Dziś, kiedy wszystko się skończy, kiedy umilkną brawa i gwar będę na ciebie czekać przed wejściem od strony ulicy. Daj mi rękę albo nie, wybór należy do ciebie, poczekam na zewnątrz.

TOWIAŃSKI: Co się komu w duszy gra, co kto w swoich widzi snach, niech nam daje, niech się dzieli.

GOSZCZYŃSKI: Moje bije identycznie jak twoje, pozwól mi wejść.

KAROLINA: Mam dla ciebie ciepłe obuwie i kilka świeżych konserw Sewerynie. Oczy twe otwarły się wreszcie.

RAM: Moje za szybko, pomóż mi zwolnić. Nie chcę was wyprzedzić, tak mi się z wami dobrze zrobiło.

TOWIAŃSKI: Słyszę rozpędzone tu i teraz życie.

MICKIEWICZ: A ty czemu się nie podłączysz?

TOWIAŃSKI: Nawet jeśli tkwię w bezruchu musisz wierzyć, że ruch trwa.

MICKIEWICZ: Co to znaczy takie braterstwo z lotu ptaka?

TOWIAŃSKI: Chwilowo mam nieczynne.

MICKIEWICZ: Twojego nie słyhać.

TOWIAŃSKI: Inwentaryzacja.

MICKIEWICZ: Kim ty kurwa jesteś?

TOWIAŃSKI: Niech się śmieją z was z mojego powodu. Nigdzie nas narodowa scena ponieść nie zdoła swoimi mitami. Ci, których niosła, którym na myśl wolność podsuwała pomarli. Widziałem na oddziale ludzi, których gwałtem okradano z choroby. Zdzierano im kaftany, i zdrowych wypuszczano na zabawę publiczności świata. Po miesiącu wracali w czarnych workach. Sekcje nic nie wykazywały.

CZEGO TY WŁADZIU

KSAWERA: Czego ty tu Władziu, jak się wydostałeś?

WŁADYSŁAW: Wywarzyłem drzwi, zresztą były otwarte ale i tak wywarzyłem.

KSAWERA: Co ty masz na twarzy Władziu takie czarne brzydkie?

WŁADYSŁAW: Przerabialiśmy wczoraj „Dziady”, i jeden taki Witold przekonywał, że to już nie aktualne problemy. Że Goethe to ty nie jesteś.

MICKIEWICZ: Pewnie, że nie jestem, mnie można porównać np. z Wagnerem.

WŁADYSŁAW: Powiedział, że co ty możesz wiedzieć, kiedy nawet na żadnej wojnie nie byłeś. Że na ruskich salonach radzieckie kurwy ruchałeś, pisałeś rewolucyjne Walenrody, a do powstania nawet dupy nie ruszyłeś. I mnie wtedy nerwy wzięły, bo ja rodziny jednak ruszać nie pozwalałam. Zdjąłem buta i tak go okładam, i tak, i tak i kiedy już prawie mdleje, wtedy inny chłopak kopie mnie z obrotu w oko.

KSAWERA: Jak się grzebie w ojcach to się wzrok traci i mowę, dobrze ci tak.

MICKIEWICZ: Musisz wiedzieć, że czasy były inne i że sowy nie są tym czym się wydają. Że nikt nie jest tak do końca czysty nawet święty Piotr Jezusa zdradził i to trzy razy a został papieżem.

WŁADYSŁAW: Ale on powiedział, że w instytucie pamięci narodowej na pewno statusu pokrzywdzonego nie otrzymasz.

MICKIEWICZ: Nawet bym nie śmiał prosić.

WŁADYSŁAW: Czemu nie możesz raz porządnie umrzeć, a nie tak kawałek po kawałku zdychać nie wyraźnie.

MICKIEWICZ: Owszem byłem ja w Peterburgu nie raz nie dwa razy, cudnie wspomnienia piękne przeszłości obrazy. Tam lepiej rozumieli mój geniusz, moje rozmiłowanie w naturze. Poeta ma tam ojczyznę tylko tam, gdzie jest głęboko i na wielu poziomach czytany. Czym może być Warszawa dla artysty albo i Kraków?

KSAWERA: Kryptą na Wawelu.

MICKIEWICZ: Jeszcze moment a nie będę nikomu potrzebny, nikt nikomu w mojej obronie mordy nie obije. Ostatnim jesteś synu wojownikiem.

WŁADEK: Ja za stary świat mogę spłonąć żywcem, za te lektury Marii Konopnickiej, Henryka „Potopy”, za to że białe pozostaje białe jak śnieg. Nauczyłem się widzieć bohaterów i zdrajców na oddzielnych półkach i jak mi jeden na drugiego wchodzi nie mogę wytrzymać z bóleści. Uszy sobie watą zatykam a i tak słyszę wszystko czego nie chcę słyszeć jeszcze wyraźniej, jeszcze głośniejsze w głowie, ojca jęki i Ksawery sapanie, matki szlochy i Seweryna jęczenie.

KAROLINA: Przecież żadnego starego świata nie ma i nigdy nie było, owszem był wystrój, meble, tkaniny, fryzury. Wszystko to atrapa.

WŁADEK: Przecież pamiętam.

KAROLINA: Śniło ci się. W strachu.

WŁADYSŁAW: Pamiętam, jak stare wiejskie baby idąc na kiermasz przystawały o dwunastej w południe, klękały i śpiewały na Anioł Pański o nic nie pytając. Jak ojciec wracał z warsztatu i na głos czytał nam biblię z Panem Tadeuszem na zmianę. Jak po szkole mama zawsze czekała w oknie i słuchała o tym co nam pani i ksiądz na lekcjach mówili i wyjaśniała znaczenia słów nie znanych. W niedzielę na mszy oddech wiernych unosiły modlitwy do nieba i każda prośba była wysłuchana. A po mszy szliśmy z dziadkiem do kina na „Casablankę”, „Przeminęło z wiatrem” i inne wspaniałe opowieści. Dziadek tłumaczył mi morał i zawsze wiedziałem jak dobrze i bezpiecznie myśleć. Za takimi dniami tęsknię, takie popołudnia chcę reprodukować. Czy jest dla mnie miejsce w waszych wierszach?

KAROLINA: Każdy ma takie cenne rupiecie w metalowym pudełku po czekoladkach świątecznych. Raz za czas ogląda takiego dawnego siebie z odległości z której się już chyba nie zawraca. Choć może czasem, kto wie można zyskać azyl w księdze baśni. Ale baśń bywa niestety bardziej okrutna niż to co twoje teraz oczka oglądają. Chcesz okrutnej baśni?

RAM: Jeszcze kilka minut możemy nic nie wiedzieć, nic nie chcieć i nic nie przypomnieć sobie.

*WŁADYSŁAW: Nie pamiętasz bo nie możesz
Byłeś wtedy małym chłopcem
Gdy twój ojciec z karabinem szedł na bój*

*Ref.: Wśród wystrzałów, huków bomb
Bronił on ojczyznę swą
Byś mógł teraz wybudować
Piękny dom.*

*Patrzysz w niebo widzisz błękit
i lecący sznur łabędzi
i do szkoły znów spokojnie możesz iść*

*Ref. Ala wtedy, ale wtedy
zamiast białych łabędzi
czarne skrzydła samolotów
i huk bomb.*

*My nie chcemy więcej wojny
Chcemy żyć życiem spokojnym
Jaki długi i szeroki jest nasz świat*

*Ref: Chcemy miłość stworzyć wszędzie
wojna niech legendą będzie
szczęście, miłość niech okryje
wojny ślad.*

KSAWERA: Przytul się Władzio, lepiej żebyś ty nic nie pamiętał, lepiej żebyś ty sobie te oczy do kieszeni schował, a w uszy dobrą muzykę wpuścił. Masz tu walkmana, posłuchaj sobie popu albo mazureczka.

RAM: Tańczmy za chwilę moje potomstwo zawiśnie na swym genealogicznym drzewie. Tańczmy. Za chwilę będziemy na siebie patrzeć z ukosa i udawać, że się nigdy nie znaliśmy wcześniej. Tańczmy za chwilę mnie wypędzicie. Tańczmy za chwilę nie będę pamiętał że kochaliśmy te same miasta. Tańczmy póki możemy się dzielić ojczyzny towarem. Tańczmy póki ten horyzont dźwiga różne świątynie i święta. Tańczmy, jeszcze wierzymy że jest jakieś lepiej. Tańczmy za chwilę będziemy w innych drużynach rywalizować o status ofiary. Tańczmy póki w piwnicach gniją tylko jabłka. Tańczmy dopóki nie mamy na siebie języka. Tańczmy, za chwilę będziemy mieć się przeciw sobie. Tańczmy za chwilę będziemy walczyć o przywileje tych samych oprawców. Tańczmy, dopóki nasze serca leżą w naszych ciałach. Tańczmy, musimy tu i teraz wołać. Tańczmy póki nie skręcimy w przeciwnie wagony. Tańczmy póki mogę się podpisać prawdziwym nazwiskiem. Tańczmy póki możesz się do matki przyznać. Tańczmy za bezkarne kręcone włosy. Tańczmy, zaraz ten kraj będzie martwą ścianą płaczu. Tańczmy póki nikt nie chce być katem. Tańczmy póki pamiętamy podobne melodie, póki resztki wspomnień pozostają wspólne. Tańczmy. Za chwilę każdy będzie miał swoje zamknięte wspomnienia, w których nie będzie żadnych więcej ludzi. Za chwilę

zgwałcą nas pamięcią dziady i pradziady. Tańczmy póki się narodowa scena pod nami nie złamie. Tańczmy póki przyjmie każdą naszą rozpacz. Tańczmy póki każe nam bezwstydnie krzyczeć. Tańczmy póki możemy bez cenzury tańczyć.

Jak w jednym szeregu pod murem, jak pod celownika okiem. Tańczymy. Póki pocisk nie przemierzył drogi. Tańczmy póki cyklon kojarzy się z wiatrem. Tańczmy póki nie musimy się tropić po lasach. Tańczmy póki moje imię nie jest inwektywą. Tańczmy póki wsie nie mają tajemnic. Tańczmy póki rozumiem polskie słowa. Tańczmy póki możemy na siebie bezkarnie popatrzeć. Płacmy póki nasza sprawa tu i teraz żywa. Z trupów własnych będziemy się śmiać.

KAROLINA: Przrzeknijmy sobie, że już nigdy nie będziemy się niczego wstydzić.

MAMO UBIERZ SIĘ

WŁADYSŁAW: Mamo ubierz się i tak się już ze mnie ciągle śmieją. Nie mogę się spokojnie na boisku rozpedzić do piłki. Chłopcy z drużyny nagrali cię komórką, jak się wczoraj na pomnik taty półnago wspinałaś. I profanowałaś jego dumne krakowskie oblicze kopulacyjnymi ruchami. Turyści też cię kręcili i na youtube pewnie już jesteś postacią dnia. Tego się nie da zatuszować mamo. Postęp wyprzedził czyszczenie pamięci. Jak ja cię sprostuję?

CELINA: Kochasz mnie?

WŁADYSŁAW: Najbardziej na świecie.

CELINA: To zabij ojca.

WŁADYSŁAW: Nie da się go zabić.

CELINA: Jak go raz na zawsze otrujesz w Konstantynopolu, żeby przy okazji wszystkie brudy w nim zakopać, to może uwierzę w synowskie oddanie.

WŁADYSŁAW: Z czego niby będziesz żyła, renty po nim na pewno nie dostaniesz.

CELINA: Znajdę sobie takiego syna, co mi wiernością skrzydeł przysporzy, co mnie będzie własnoręcznie utrzymywał i to nie na tak marnym poziomie jak ojciec. Raz z nim obcowałam i już mi Gustawem brzuch puchnie krzykliwie. Adam nie na darmo zwany ojczyzny ojcem założycielem, on by zapładniał w sześciocyfrze. Małego narodu jak Luksemburczycy spokojnie mógłby być reproduktorem.

WŁADYSŁAW: Tato pomóż mi ją ubezwłasnowolnić. Gotowa krzywdę sobie tobą zrobić.

CELINA: Zdejmijcie mi kajdany. Ojczyznę w stanie błogosławionym zakuwać jak przestępcę. Ubierzcie mnie w strój świąteczny, załóżcie koronę i różańcem oblećcie czoło. Otwieram drzwi do kaplicy. No niechaj podbiegną młodzieńce,
Niech mię pochwycą za ręce,
Niechaj przyciągną do ziemi,
Niech poigram chwilkę z niemi.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie dotknął ziemi ni razu,
Ten nigdy nie może być w niebie. Byłeś w niebie? Ja się wybieram sprawdzić, jaka to w niebie miłość nieskończona. Ja pole uprawne, ja teren skażony, ja symbol krwią zroszony. Twarzą do ziemi do błota, chcę być rozkopana. Gustawa nie puszcze na pastwę rozterek. Niech śpi, nim ruszy na wojnę wszystko jedno którą. Taki mu ojciec szpetny przygotował los. Nie puszcze niech sobie rośnie. Tylko od syna może matka pęknać.

CIAŻA

MICKIEWICZ: Pod twym sercem skarb, diament wiekuistego zwycięstwa zaranie. Konrad, Poeta, co Boga samego zmiecie i sam na jego miejscu stanie nieśmiertelny za mnie. Będzie miliony mi mnożył, przynajmniej w Polsce mi pisany kraj. Mateczka Rosyja nie dałaby mu tak wiecznego życia. Moje winy, zbrodnie nie poszły na marne. Zbawiciel nadchodzi. Czuję, jak wyciąga dłonie i kładzie na gwiazdach, on zdepcze wszystkich poetów, mędrce i proroki. Lud odkupiony, lud Konradem zbawiony.

CELINA: Czemu niby poeta może jak cień miejski lecieć gdzie go poniosą natchnienia. I poznawać świat od podszewki i w pieleszach panien ulicznych liczyć blizny. I tworzyć synom ich dzieje, dając bohaterskie rany. Czy moje rana o ta tutaj nie jest bohaterska? Niech mnie szarpią młodzieńcy i starcy. Ja też chcę coś z tej gorączki romantycznej poczuć niesamowitego. Ja poezją nasączona, wierszem rozpędzona, rozmodlona przesadnie, dekorowana z przepychem, ale mnie kurwa żaden rycerz nie przeleci. Andrzej czyś ty rycerz wiary?

TOWIAŃSKI: Oddaję się Celino twojej wyobraźni.

MICKIEWICZ: Konrad ma słabe serce, nie przeżyje żadnych perturbacji. Leż nieruchomo.

TOWIAŃSKI: Jak Ci przyrzekłem sakramentami fizycznymi służyć.

CELINA: Nie czuję żaru romantycznego, kłamię. Ciągłe kalkuluję, czy ten gest się opłaca, czy zadziała na was. Każdą zdradę nieszczęście przerabiam sobie na małe kieszonkowe sensy.

TOWIAŃSKI: Wystarczy jeśli raz na całe życie poczujesz chwilę jedną, którą chcesz powtórzyć, nawet kosztem życia.

CELINA: A jeśli ta chwila teraz się wydarza.

TOWIAŃSKI: Zostań w niej, nie idź dalej, nie trzeba tak biec, tak spieszyć.

CELINA: Czy to możliwe żeby modlitwa była czymś więcej niż monolog? Czy to możliwe by ekstaza miała wartość poza samą sobą? Czy moje potępienie może obchodzić przydrożnego boga?

TOWIAŃSKI: Jeśli codziennie nawet przez sekundę dopuścisz taką ewentualność, kto wie.

CELINA: Pocałuj mnie na drogę.

TOWIAŃSKI: W tej drodze wszystko wydarzyć się może, nie bój się.

Otwórzcie szerzej drzwi od kaplicy, żadnej lampy, żadnej świcy. Połóżcie ciężarną na progu, przywiążcie do wrót. Niech się rzuca, niech kwiczy w niej anioł, albo zły duch. Może zdołam chłopcu pomóc a może tak ma być.

MICKIEWICZ: Będzie żyć syn mój ostatni, mam na niego wielki plan. Będzie się mnożył piórami geniuszy, którzy przyjdą po mnie. On da formę dla następnych pokoleń dusz. A kysz, a kysz z niej a kysz.

KAROLINA: Ona umiera. Jej wola naszą wolą, nie można inaczej. Jej teatr naszym teatrem, nie można inaczej. Ona prowadzi wątek tragiczny i od jej tragedii nie sposób się uchylić ciosem.

MICKIEWICZ: Dziecię samego Jezusa przeżyje, ma tu świetny grunt, a kysz z niej a kysz.

CELINA: Nie dam wam azylu wstrętni emigranci, nie dam wam chleba, ani Gustawa wam nie dam. Przeklinam was ojcowie, dziady, trupy. Zamykam drzwi do kaplicy. Idę spać.

KAROLINA: Puls znika, ciśnienie sześćdziesiąt na czterdzieści, chyba umarł jej mózg. Krew nie krzepnie. No cóż. Jestem po raz pierwszy bezradna.

KSAWERA: Władziu, Przynieść miskę wody i nożyczki, strój narodowy taki jak ma tatuś.

TOWIAŃSKI: Konradzie opuść ciało tej biednej kobiety.

ROZMOWY Z PŁODEM

KONRAD: Mam na imię Gustaw.

TOWIAŃSKI: Wyjdź z niej i przeżyj. Biedny twój ojciec czeka na ratunek.

KONRAD : Wokół szyi wisielczą bruzdę po nim noszę.

TOWIAŃSKI: Musisz go wykupić inaczej go zjedzą tubylcy. Taki głodny mamy tutaj lud. Jak ty nie zaśpiewasz pieśni co poruszy i pokaże że w człowieku czyn, że człowiek coś pięknego poczuć może, ojca winą udławią i krwią.

KONRAD: Mam całą wieczność mrzeć w warunkach urągających Prometeuszowi nawet Jezusowi? Ni chuj nie wyjdę.

TOWIAŃSKI: Produkujemy, pracujemy, przyłącz się. W dwie godziny wyprodukowaliśmy cały świat. I czekamy na pierwszego człowieka, zbudowanego z naszego prawa, którego podstawą jest wyjątek.

KONRAD: Jeżeli mnie wyrzucasz, poślij mnie choć w tę trzodę świń!

TOWIAŃSKI: Wybierzesz sobie dom, kraj, gatunek, rasę, płć.

KONRAD: Jak upiór całe wieki błądzić od świni do świni. To nie jest życie.

TOWIAŃSKI: Ojciec cię poprawi jeśli jest coś nie tak, od początku.

MICKIEWICZ: Mamy dla ciebie role godne, reprezentacyjne, bardzo atrakcyjne. Każdy aktor marzy, żeby grać Konrada.

KONRAD: Nie ufam ci, nie podam ci żadnej szklanki wody.

MICKIEWICZ: Nie drocz się, muszę nauczyć cię wielu rzeczy a nie jestem już młody pospiesz się.

KONRAD: Chce żebyś ty mnie dokończył, w tobie jest bliższy mi bóg. Ty jesteś gracz, ptak złamany. Ty nie masz złudzeń, nie masz nic.

TOWIAŃSKI: Zrobię co chcesz?

KONRAD: Wyzwól mnie.

TOWIAŃSKI: Od czego?

KONRAD: Od ojca projektów i daj mi jego nóż.

TOWIAŃSKI: Czy czujesz jakieś w sobie parcie?

KANRAD: Nie.

TOWIAŃSKI: A pożądanie?

KONRAD: Nie.

TOWIAŃSKI: Choć pragnienie jakieś?

KONRAD: Nie wiem.

KSAWERA: Ja cię w pragnieniach tak wymuszuję jak tatusia. Dla ciebie mam zestaw próbek zupełnie nielegalnych, warto się zrodzić dla tych kilku sekund. Chodź do mnie, u mnie jak u mamy, cały się pomieścisz razem z nieładem.

KONRAD: „Zbrodniczy nakaz Księgi Rodzaju „Bądźcie płodni i mnożcie się” nie mógł wyjść z ust dobrego Boga” Niechaj będzie was mało albo w ogóle nie będzie powinien był krzyknąć. Gdyby człowiek był wyjątkiem, gdyby nie każdy mógł wytworzyć życie może bym z tego życia skorzystał.

TOWIAŃSKI: Porzuć te zwłoki Konradzie.

KONRAD: Mam na imię Gustaw.

Ja mistrz!

Ja mistrz wyciągam dłonie

Na gwiazdach jak na szklanych harmoniki kręgach.

Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie.

Taka pieśń jest siła, dzielność,

Taka pieśń jest nieśmiertelność!

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,

Cóż Ty większego mogłeś zrobić-Boże?

Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra-

Potrzeba mi lotu,

Wylecę z planet i gwiazd kołowrotu,

Tam dojdę, gdzie graniczą Stwórca i natura.

I mam je, mam je, mam-tych skrzydeł dwoje;
Wystarczą:-od zachodu na wschód je rozszerzę,
Lewym o przeszłość, prawym o przyszłość uderzę.
I dojdę po promieniach uczucia do Ciebie!
I zajrzę w uczucia Twoje,
O Ty! O którym mówią, że czujesz na niebie.
Jam tu , jam przybył, widzisz, jaka ma potęgą,
Aż tu moje skrzydło sięga.
Lecz jestem człowiek, i tam, na ziemi me ciało;
Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało,
Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku
Ja kocham cały naród! - objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec.
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić...
Mam na imię Gustaw.

CELINA: Nie opuszczaj mnie, tyle miesięcy cię przenosiłam, że śmierć mi prawie przynosisz chwalebną. Zostań jeszcze trochę.

KONRAD: Tylko na chwilkę wyglądnę na ten nowy świat i wrócę.

CELINA: Dotknij ile dla ciebie nazbierałam. Całe członki zeszytnieją, ale miłość do dziecka w piersi się nie zetnie. Jedynie ciebie kochałam. Żegnaj na świecie.

NARODZINY KONRADA

TOWIAŃSKI: Piękny. Spójrzcie, prawdziwe żyjąca istota ludzka o idealnej fakturze, temperaturze, ciężarze gatunkowym, zapachu. Można mu wybrać dowolną twarz. Wydaje się być trwały, nie zniszczalny.

MICKIEWICZ: Przecież to down.

TOWIAŃSKI: Przejdzie próby techniczne.

MICKIEWICZ: Jakie próby?

TOWIAŃSKI: Wytrzymałości, elastyczności, szczelności, ciśnienia.

MICKIEWICZ: Nie ten kolor, nie ta rasa, nie wiem co to za płeć. Nie może tak wyglądać narodu zbawiciel.

RAM: Doskonały, łączy wszystkie rasy, kolory. Istny nadmiar. On stworzy nowe pola aktywności.

KONRAD: Dążenie do wolności doceniam nawet w zamkniętej w słoiku pszczole, która implantem miłości próbuje pokonać szkło.

MICKIEWICZ: Przepiszę go w działo albo czołg.

KONRAD: Nie umiem w żaden sposób sprostać swemu byciu.

TOWIAŃSKI: W twoim ciele zawiera się cała historia błędów gatunkowych.

KONRAD: Jestem błędzeniem, wołaniem. Nie wiem po co tu spadam. Nie wiem co krzyknąć, do kogo się wznieść, do czego odnieść. Możesz mi podpowiedzieć.

TOWIAŃSKI: Jesteś obywatelem gleby, zanieczyszczonej wody pitnej, słońca promieni, dziury ozonowej, wypalonych lasów.

KONRAD: Chcę dostać sierść, księgę i jakąś jaskinię. Muszę się czegoś dowiedzieć.

MICKIEWICZ: Konradzie trzeba ci przyciąć włosy, żeby się zmieściły pod hełm i nos żebyś się zmieścił pod maskę.

KONRAD: Mam na imię Gustaw, po matce jestem zakochany. Konradem mogłeś być ty ojciec w celi. Konradem mogłeś być w przejrzystej niewoli. Ta tutaj nie jest zbyt przejrzysta. Trzeba się od początku zniszczyć. Nie wiem jak? Nie wiem kim? Czuję, że to coś blisko, coś we mnie, koło mnie, na mnie. Kim jesteś ty za którym cierpię? Jaką masz twarz, jak cię

rozpoznam? Jak cię zobaczę? Jak mnie odrzucisz? Jak mnie porzucisz? Czy jesteś lwem czy sarną?

MICKIEWICZ: Ubieraj mundur, ktoś musi się za mnie bić, dla mnie, za tę jakąś wartość o ojczyznę, naród, albo za język chociaż.

KONRAD: Przecież mam kopyta, pazury, i kły. Nie potrzebuję twej szabli biedny ojcie.

MICKIEWICZ: Stworzyłem cię do zadań specjalnych musisz być czujny. Nie widzisz że ciągle wojna trwa, że idą na nas oddziały może nie uzbrojone lecz przez to groźniejsze. Synu obroń mnie.

KONRAD: Tato przed kim mam cię bronić?

MICKIEWICZ: Mam lęk wysokości, boję się obcych na obcych dachach. Boję się kopalni i piwnic. Boję się polecieć. Boję się zakopać. Boję się, że śmierć będzie miała moją własną twarz.

KONRAD: Skazani na siebie w zamkniętej windzie płonącego wieżowca.

TOWIAŃSKI: Uciekaj chłopcze, czeka na ciebie tyle nowych pojęć, języków, szat, kalejdoskop pięciominutowych żyć, sam skomponuj swój magiczny utwór.

PROJEKCJA, MUZYKA

KONRAD: Chcę ciało silne, puszysty ogon, wielki łeb, profesję taneczną, orientację wszechstronną skierowaną ku wszelkim stworzeniom natury i dziełom człowieka, w walizce –muzykę. Żadnych dla mnie słów. Żadnych celów. Wolny na reszcie wolny w swej improwizacji. Miłości improwizacji. Miłość bez podmiotu, pożądanie bez obiektu. Moja pełnia nie nazwanych uczuć na ich puste słowa. Czy dam radę teraz kochać jak Rambo, cierpieć jak Werter, pisać jak Rilke? Czy możliwe mi być partyzantem albo terrorystą? Czy musiałbym się urodzić Czeczeni albo w Palestynie, żeby ucieleśnić te ojcowskie mity? Mam na imię Gustaw.

MICKIEWICZ: Czekaj na ciebie jedno życie moje, przepraszam cię.

KONRAD: Muszę jednak odtańczyć te wszystkie śmierci, w które mnie ojciec posyła, może mi to zająć całą wiosnę, na jesień mam wózek. Muszę pojąć coś. Ale co? Za kogo mam być Konradem?

TOWIAŃSKI: Uciekaj w ciepłe kraje, tu jest wciąż martwy sezon dla pięknych tancerzy.

KONRAD: Nie mam na bilet a poza tym nie chcę.

TOWIAŃSKI: Weź te skrzydła, napędza je energia przyrody. Też kiedyś takie miałem ale mi odpadły bo za długo byłem w jednym miejscu.

KSAWERA: Adamie czas się związać świętymi więzami, cały dramat czekałam, żeby ci legalnie jako wdowcowi wyznać nie tylko miłość ale zupełne oddanie, posłuszeństwo. Jak zechcesz będę ci Konradem, Kordianem, Werterem, można mnie formować, jestem elastyczny. Sam nam możesz dać ślub.

MICKIEWICZ: Głowa mnie boli, może potem.

WŁADYSŁAW: Kto to jest ta dziwność.

MICKIEWICZ: Brata nie poznajesz?

WŁADYSŁAW: A mamusia gdzie?

MICKIEWICZ: Umarła, gdzie ty byłeś?

KSAWERA: Nie chciałam żeby patrzył, zamknęłam go w szafie.

WŁADYSŁAW: Nawet się z matką nie pożegnałem słyszałem jak mnie wołała, jak krzyczała, że jej pierś zawsze dla mnie żywa.

MICKIEWICZ: Nie dla ciebie sieroto, wybrała Konrada. O tobie nawet nie wspomniała. Mnie z wami samego, mnie z sierotami, jaką ja wam dam czułość, jak wam dam jeść? Z czego, z jakiej butli?

KSAWERA: Razem wychowamy na porządnym ludzi.

WŁADYSŁAW: Czemu on w żałobę tańczy? A czemu on tańczy?

Dzwon, szum morza

GOSZCZYŃSKI: Słyszycie Zygmunta dzwon, słyszycie szum Wisły ? Ja Giewont nawet słyszę, śpiących rycerzy chrapanie. Rozradowany biegnę na wzgórze wawelskie i już chcę objąć ramieniem święty mur. I nagle żandarm przede mną wyrasta jakby z piekła, zatrzymuje mnie i powiada: „Nie ma przejścia, nikt nie może wchodzić na teren zbrodni, otoczony żółtą linią. Co się stało-pytam. Nad lewym brzegiem Wisły znaleziono zwłoki kobiety, wiek nieokreślony, rasa czysto biała, z dokumentów, które przy niej znaleziono wynika, że imię jej Polska. Wzrost 170 cm, budowa słuszna, biodro rozłożyste, pierś bujna, włosy blond do pasa. Zwłoki ofiary są poćwiartowane na części. Głowa spoczywa między udami, w jej pochwie znaleziono butelkę wódki obleczoną drutem. W butelce była kartka. Wyjąłem kartkę. Na kartce napisane było Adam Mickiewicz ” Zrobiło mi się słabo, źle znoszę takie widoki. Padam na kolana przy ciele ofiary. Jak ja bym tak Polskę pieścił, w jej łonie wierszami

lirycznymi zawodził i jęczał pieśni wyzwolenicze, gdyby mnie ta szmata nie zdradzała z ponoć bardziej natchnionym Adamem. Próbuje się modlić. Chcę kopnąć w głowę, już nawet zamach wzięłem. Budzę się w gorącym nasieniu.

KAROLINA: Sewerynie obudź się na Boga?

RAM: Zarżnął się.

KAROLINA: A jednak chciałeś mnie uszczęśliwić, od początku wierzyłam, że ty się w czyn wielki rzucisz.

RAM: Prosiłem, żeby zebrał dzienniki i ze mną walizki pakował. Głodny, zziębnięty. W Ameryce błazen lepiej opłacany. Jadę dalej, ja was nie rozumiem. Nie rozumiem poco wam ten rak narodowy, te Konrady. Mam kontrakt na musical o pogromie kieleckim w Bollywood. Nie wiem jak się sprawdzi lokalni aktorzy. Może zmienię obywatelstwo, może pleć kto wie.

KAROLINA: Pomogę ci może to się jeszcze da przyszyć, a zresztą i tak by sam odpadł.

KONRAD: Nie pasuję nawet do walki tanecznej. Byłem synem wojennym a dziś świat brzydzi się wojownikami, miałem kochać w rozpaczynie obiekt niedostępny, a dziś wszystko można nabyć. Każde uczucie zaprogramować w bliźnim jak się zna kilka technik i programów.

GOSZCZYŃSKI: A śnią ci się koszmary?

KONRAD: Jeszcze nie miałem chwili, żeby zasnąć.

GOSZCZYŃSKI: Mówi się, że tam gdzie śpi dwóch koszmar boi się przychodzić, bo i jak próbuje atakować jednego drugi zawsze czuwa i zabija mary. Będziesz strażnikiem moich snów?

KONRAD: Boże ty krwawisz, prawdziwa krew.

GOSZCZYŃSKI: Zostaniesz przy mnie?

KONRAD: I tak nie mam nic innego do pokochania. Jestem tym kto na mnie patrzy. Tańczmy Sewerynie kochany a ofiarę niech wybiera lud.

RAM: Już wybrany na ofiarę ja, ale ja oddaję ci bez walki medal.

KSAWERA: Ja też wykorzystana wykopana na margines, bez dorobku artystycznego, bez mogiły też ci oddaję moje drugie miejsce. Nie potrzebuję wieszczki, czuję w sobie nową krew.

Kim ty właściwie jesteś Adamie o niespracowanych dłoniach. Zwykłym Wielodzietnym knurem. Zdarłeś się szybko. wielokierunkowo .Twoje ręce sięgają do ziemi, pod podłogę do piwnicy, do grobu. Wrosły się w ziemię. W trupa ziemię. Jeden worek ojczyzny to za mało żeby coś wyrosło. I nic na skalę twych ambicji nie wyrosło i nie wyrośnie. Delikatność przeszła z wiekiem i nie zostawiła po sobie śladu.od Dziadów tylko piej, słowiku piej. Wreszcie wolna. Wychodzę pierwszy raz w objęcia nocy nie z tobą. Nie wierze ci. Nikt ci nie wierzy w miłość czystymi rękami. Ram z tobą czeka mnie pełnowartościowa przyszłość. Ty jesteś istną bombą kaloryczną. Jak sprzedasz swoją biografię troszkę ją pofabrykujemy razem, to sukces wydawniczy w USA murowany.

MICKIEWICZ: Ale ja bym się nawet ożenił, była byś ze mną na pomniku.

KSAWERA: Nie spełniły się twoje wieszczenia, a Juliusza się spełniły o polskim papieżu, więc nie jesteś chyba jednak pierwszym wieszczem.

RAM: Zawsze lubiłem zdecydowane kobiety z poczuciem humoru. Czeka na nas miejsce w wagonie.

Wejście techniki

MICKIEWICZ: Nie ulega wątpliwości, że upadek mojego kultu pociągnie za sobą całkowitą przemianę polskiej tożsamości.

WŁADYSŁAW: Nie pozwolę obłąkany ojcie.

TOWIAŃSKI: Czas zapomnieć ojców dzieje.

MICKIEWICZ: Sam rozwalę ten pomnik okropny, tandetny. Matce się nie udało, sam go zaraz dopadnę, zniszczę.

TOWIAŃSKI: Spotkaliśmy się, żeby odkrywać swoje pragnienia najskrytsze, najdziwniejsze. Mało jest dziś miejsc gdzie można je odkrywać, a coś dopiero bez skrępowania wyrażać.

MICKIEWICZ: Zniknąć raz na zawsze, nie zostawić śladu, dziedzica ani dla lutni, ani dla imienia. Kurwa na koniec wroga cytuję do cholery.

KAROLINA: Twój syn wychodzi na framugę okna. Patrzysz i nic nie rozumiesz. Jest na parapecie. Chcesz wstać i go zatrzymać. Nie wstajesz. Kogoś zawołać, krzyknąć. Nie krzyczysz. Spadnie, wiesz, że spadnie. Nie umiesz się ruszyć. Robi krok, drugi, trzeci. Trzęsie się. Odwraca się do mnie przez szybę. Musi spaść. Śmieje ci się w twarz. Za ciebie szyderczo robi krok. Każdy kiedyś spada, mówi śmiech. On cię wyręcza. Które to piętro? Dokąd leci? A dokąd Ikar leciał? Do słońca. Za ciebie spada. Za ciebie leci na bruk. To jeszcze dziecko Co to za miejsce w głowie? Co to za ból?

TOWIAŃSKI: Ja cię chcę z Byronem i Goethem na półkę położyć. Chodźmy na powietrze pooddychać wreszcie.

MICKIEWICZ: Weźcie mnie do innej historii.

TOWIAŃSKI: Nie jest nam potrzebna historia. Ani do życia ani do czynu.

KAROLINA: Jest potrzebny człowiek.

TOWIAŃSKI chodźmy na Wawel

MICKIEWICZ Po co?

TOWIAŃSKI. Musisz odzyskać serce inaczej nie zaśniesz.

MICKIEWICZ: Co to za plama pod oknem.

TOIWAŃSKI: No Władek wyskoczył.

KAROLINA: W tym kraju zawsze ktoś w końcu wyskoczy. Przynajmniej tyle.

KONIEC

Let me be your hero,

Would you dance,
if I asked you to dance?
Would you run,
and never look back?
Would you cry,
if you saw me crying?
And would you save my soul, tonight?

Would you tremble,
if I touched your lips?
Would you laugh?
Oh please tell me this.
Now would you die,
for the one you love?
Hold me in your arms, tonight.

I can be your hero, baby.
I can kiss away the pain.
I will stand by you forever.
You can take my breath away.

Would you swear,
that you'll always be mine?
Or would you lie?
would you run and hide?
Am I in too deep?
Have I lost my mind?
I don't care...
You're here, tonight

.

*Nie pamiętasz bo nie możesz
Byłeś wtedy małym chłopcem
Gdy twój ojciec z karabinem szedł na bój*

*Ref.: Wśród wystrzałów, huków bomb
Bronił on ojczyznę swą
Byś mógł teraz wybudować
Piękny dom ,nowy dom*

*Patrzysz w niebo widzisz błękit
i lecący sznur łabędzi
i do szkoły znów spokojnie możesz iść*

*Ref. Ala wtedy, ale wtedy
zamiast białych łabędzi
czarne skrzydła samolotów
i huk bomb wystrzały bomb*

*My nie chcemy więcej wojny
Chcemy żyć życiem spokojnym
Jaki długi i szeroki jest nasz świat*

*Ref: Chcemy miłość stworzyć wszędzie
wojna niech legendą będzie
szczęście, miłość niech okryje
wojny ślad, z dawnych lat.*